Należytość pocztową uiszczono gotówką.

Kolekcja Emila Kornasia

Wojewódzka Biblioteka Publiczna CZYTELNIA w Opolu

Nr. 54 Lwów Marzec 1929 Rok VI.

PANTEON POLSKI

Poświęcony czynowi Józefa Piłsudskiego i bohaterstwu Żołnierza Polskiego, kronice walk o Niepodległość i pamięci poległych Obrońców Ojczyzny o wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

Lwów-Skrytka 98. — Telef. 22-90. — PKO. Warszawa 152.930. — Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 90 gr.

OD LAT PIĘTNASTU WITA WOLNA POLSKA WIOSNĘ KAŻDEGO ROKU ŚWIĘTEM 19. MARCA, ŚWIĘTEM IMIENIN TEGO, Z KTÓREGO OSOBĄ ZŁĄCZONE JEST ZMARTWYCHWSTANIE POLSKI I KTÓRY OJCZYŹNIE SWEJ WYRĄBAŁ GRANICE NA MAPIE EUROPY, PRZYSPARZAJĄC JEJ SŁAWĘ I WIELKOŚĆ.

W DNIU TYM, CAŁE, ZDROWO MYŚLĄCE SPOŁECZEŃSTWO — HOŁD ZASŁUŻONY ODDAJE NACZELNIKOWI I WODZOWI, HOŁD WIELKIEJ MIŁOŚCI I GORĄCEGO PRZYWIĄZANIA. A LEGJON TYCH, KTÓRZY CORAZ WIĘCEJ ROZUMIEJĄ DZIEJOWĄ ROLĘ I POSŁANNICTWO JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, Z KAŻDYM ROKIEM CORAZ BARDZIEJ WZRASTA I BARDZIEJ WGŁĘBIA SIĘ W POTRZEBĘ WYRAŻANIA RÓWNIEŻ GORĄCEGO SZACUNKU I UWIELBIENIA DLA WODZA I MĘŻA STANU, NAUCZYCIELA I WYCHOWAWCY NARODU. DLA TEGO — CHROBREGO I SKARGI W JEDNEJ POSTACI.

MY — KTÓRZY WIERNIE PRZY KOMENDANCIE STOIMY I NA NASZYM SKROMNYM POSTERUNKU JEGO IDEJE PRZEKAZUJEMY SZEROKIM RZESZOM CZYTELNIKÓW — A PRZYSZŁYM POKOLENIOM POZOSTAWIAMY SKRZĘTNIE ZEBRANE SŁOWA I CZYNY KOMENDANTA — JEDNI Z PIERWSZYCH HOŁD NASZ SKŁADAMY W DNIU JEGO IMIENIN I SZCZERZE, PO LEGUŃSKU, WOŁAMY:

NIECH NAM ŻYJE!

Znaczenie Marszałka Piłsudskiego w dziejach Polski.

Wielcy ludzie, stojący na przełomie dziejów, wyciskają na swojej epoce niezatarte znamię. I dlatego bardzo często imionami tych właśnie ludzi - przewodników oznacza się okresy dziejów. Polska dzisiejsza — to Polska pracy, to Polska — Piłsudskiego. I jak mówimy w dziejach o „Polsce Piastów", czy o „Polsce Jagiellonów", tak kiedyś mówić będziemy o „Polsce Piłsudskiego". I inaczej być nie może, bo Marszałek Piłsudski wycisnął już na swojej epoce niezatarte znamię — i już wychował w Polsce nowy typ obywatela. A ten nowy typ obywatela różni się nieskończenie od „dawnego" Polaka, — czy to od „Polaka galicyjskiego", który myślą nie umiał wybiec poza granice Galicji i Lodomerji, czy od Polaka z zaboru rosyjskiego czy pruskiego. Dzisiejszy Polak-obywatel ze szkoły Marszałka Piłsudskiego myśli kategorjami Państwa Polskiego — i wie, i wierzy w to głęboko, że interes Państwa jest ponad wszystkiem.

Tak jest! Marszałek Józef Piłsudski — to wielki wychowawca narodu.

On nas uczył, że „zwycięża ten, kto wierzy"... On wstrząsnął struchlałym w niewoli narodem, zaświecił mu *w oczy błyskiem polskiej szabli*, zbudził dawne rycerskie dumy. On wskrzesił w nas wiarę *w siłę Polski* — w nas, których chowano w hańbiącem poczuciu słabości polskiej...

Czyż może być większa rola wychowawcy?

A samo życie Marszałka, pełne ofiarnego trudu, czyż nie jest najwspanialszym wzorem dla naszej młodzieży?

A patrzmy, jak przed Jego potężną wolą cofnęło się i na kolana padło warcholstwo polskie, owe przeklęte „Liberum veto", które niby upiór wstawać poczęło z mogiły — i grozić poczęło rozbiciem i unicestwieniem Państwa.

Ale czuwał Marszałek — wcielony genjusz Narodu — i żelazną dłonią zdusił anarchję, owe smutne dziedzictwo dawnych wielmożów.

I jeślibyśmy chcieli porównać postać Marszałka Józefa Piłsudskiego z jakąś postacią naszych dziejów, to nasuwa się przedewszystkiem porównanie — z królem Stefanem Batorym.

Ta sama potężna, niezłomna wola, — wola króla, który rzekł: „Malowanym królem nie będę!" Ten sam szlak świetnych zwycięstw; i to samo twarde łamanie anarchji polskiej — unicestwianie Zborowskich; i ten sam nakaz wychowawczy: „Państwo ponad wszystkiem!"

I wreszcie — to samo dążenie do zmiany ustroju państwa, — do zmiany, któraby raz na zawsze w karby ujęła duszę polską, — tak dziwnie skłonną do warcholstwa.

Losy nie pozwoliły Wielkiemu Królowi wszystkich planów swoich wprowadzić w czyn.

Ale losy te wspierać będą Wielkiego Wodza Polski dzisiejszej — i pozwolą Mu zbudować — już na wieki — potężny, wspaniały dom Rzeczypospolitej Polskiej.

Dr. Jan Rogowski.

Lwów, kolebką polskiego ruchu wojskowego.

Na przestrzeni trzech blisko stuleci, od pamiętnych dni oblężenia Lwowa przez Chmielnickiego, niezliczonych walk z hordą tatarską i nawałą turecką w XVII w., po przez bohaterskie epizody wojen szwedzkich; tragiczne dzieje związane z rozbiorami Polski aż do dni, których byliśmy sami świadkami, do dni wsławionych obroną Lwowa 1918 r., snuje się nieprzerwanie nić najświetniejszych tradycji naszego kresowego grodu, tego niezłomnego bastjonu obronnego, który wiernie służąc Rzeczypospolitej w każdej potrzebie, zasłużył sobie już w ciągu dziejów na zaszczytne miano „Urbs primaria, urbs semper fidelis".

Półtorawiekowa niewola nie zhańbiła Lwowa żadnym niegodnym jego tradycji czynem, przeciwnie, zdecydowana, męska i pełna godności postawa jego obywateli wobec zakusów germanizacyjnych Austrji, zmusiła zaborcę do pewnych ustępstw, rozszerzonych z czasem do znaczniejszych swobód, tak politycznych jak i kulturalnych. Ta okoliczność spowodowała, że Lwów przez długie dziesiątki lat był nietylko ostoją myśli narodowej i inicjatorem najśmielszych na tem polu poczynań, lecz stał się jednocześnie ogniskiem nauki i kultury polskiej i siedzibą wyższych uczelni, skąd czerpała wiedzę młodzież nietylko tej dzielnicy, ale także licznie tu przebywająca, zwłaszcza po rewolucji 1905 r., młodzież z za kordonu rosyjskiego.

Nadchodzą lata poprzedzające wybuch Wielkiej Wojny. I znów rozpoczyna się nowa, chlubna karta w dziejach Lwowa. Z pośród wszystkich miast polskich wybija się on na plan pierwszy, staje się kolebką i ośrodkiem odradzającego się polskiego ruchu wojskowego, którego duszą był *Józef Piłsudski*, skupiający około swej osoby koła

najbardziej ideowej młodzieży. Tu powstaje w czerwcu 1908 r. pierwsza tajna organizacja wojskowa pod nazwą *„Związek Walki Czynnej"*, która staje się punktem wyjścia dla całej późniejszej organizacyjnej działalności wojskowej, obejmującej nietylko poszczególne zabory, ale sięgającej i poza ich granice.

Zanim przystąpię do krótkiego omówienia tego okresu, przetoczę piękną charakterystykę roli Lwowa w dobie porozbiorowej, zawartą w słowach Naczelnika Państwa J. Piłsudskiego, wypowiedzianych w najradośniejszej dla Lwowa chwili dekorowania jego herbu krzyżem wojskowym Virtuti Militari 22-go listopada 1920.

W przemówieniu swojem zaznaczył Naczelnik Państwa, że „Lwów, jak polskie serce — serce wyhodowane w bolach niewoli, Lwów dumniejszej przeszłości zyskiwał sławę, zaskarbił zasług, ale niezapomniana jego w historji rola zaczyna się w noc najczarniejszej niewoli. Wtedy, gdy mroki naszej doli narodowej stawały się najbardziej gęste, ciężkie, Lwowowi przypadało być sercem Polski. Po r. 1863 Lwów był miastem najmniej ugodowem. Wówczas to wszędzie wszechwładnie panowała ugoda, wszędzie hasłem była t. zw. rozwaga, tak często równoznaczna z tchórzostwem. Wszędzie panował t. zw. rozsądek, który, jakże często, był tylko bojaźnią. Lwów był zawsze najbardziej bez trwogi. Tu serca Polski biły najśmielej. Kto pragnął nasycić się uczuciem wolności i pracą swoją nawiązać nić tradycji walki, musiał oprzeć pracę o Lwów, by móc oddychać powietrzem Polski, być bliżej swobody, tu, gdzie biły serca rwące się do wolności. Na tarczy waszej herbowej wypisane są słowa: zawsze wierni! i dlatego iluż tu wiernych szukało ucieczki. Ilu wiernych złożyło tu głowy, by swym duchem otoczyć opieką to, co tu w sercach najgoręcej żyło — wiarę, że jeszcze nie zginęła. Niech mi będzie wolno, jako temu, który tu we Lwowie o ruchu zbrojnym marzył i w czyn realizować go się starał, złożyć osobistą podziękę miastu, które mię i moich uczniów wychowało, gorącem uczuciem wrzało. W chwili, kiedy zginęła zmora naszej niewoli, wam przypadł honor pierwszej walki, przy waszych niwach i domach honor uderzenia pierwszego akordu, jakim rozbrzmiała Polska zmartwychwstała".

* * *

Pierwsze próby zrealizowania marzeń o czynie zbrojnym przypadają już na rok 1904. Działają już wówczas liczne tajne kółka młodzieży, przejęte ideą walki wyzwoleńczej. Kółka te jednak nie zaznaczyły się wybitniejszą akcją. Dopiero powołana do życia w grudniu tego roku organizacja *„Nieprzejednanych"*, na której czele stanęli przeważnie emigranci, działacze niepodległościowi jak: Wł. Studnicki, Turowicz, M. Downarowicz, Ignacy Sadowski i in., skupiała w swych szeregach obok młodzieży technickiej i akademickiej, też uczniów szkół średnich. W 1905 r. liczyła 300 członków. W ścisłym ideowym związku z „Nieprzejednanymi" pozostawało założone w 1905 r. mniej jednak liczne „Odrodzenie", ze St. Downarowiczem i Wł. Sikorskim na czele. W czerwcu 1908 r. z inicjatywy najbliższego współpracownika Józefa Piłsudskiego, K. Sosnkowskiego, ówczesnego przewodniczącego kółka milicyjnego przy lwowskiej Organizacji Bojowej, nawiązane zostaje porozumienie między tą organizacją a wyżej już wspomnianem „Odrodzeniem".

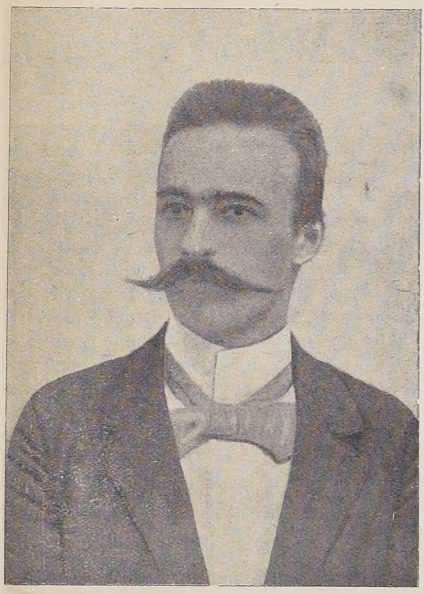

J. Piłsudski w 30-tym roku życia

Rezultatem tego było powstanie pierwszej bezpartyjnej organizacji wojskowej pod nazwą *„Związku Walki Czynnej"*.

Szeregi jej zasilone zostają byłymi członkami „Nieprzejednanych". Od tej chwili rozpoczyna się gorączkowa, żmudna praca nad wyszkoleniem przyszłych kadr armji polskiej. Powstają szkoły instruktorskie, w tajnych koszarach odbywają się ćwiczenia, wykłady i odczyty z zakresu wojskowości prowadzi osobiście Komendant Piłsudski.

Przesuwają się wówczas przez Lwów postacie zasłużonych w późniejszym ruchu legjonowym i w organizacji armji polskiej oficerów: J. Gorzechowskiego, Wł. Rożena, Sawy-Sawickiego, K. Fabrycego i wielu, wielu innych, których nie sposób tu wyliczać. Tajność Z. W. C. i niepowodzenie w tworzeniu skarbu wojskowego, uniemożliwiają dalszy rozwój tej organizacji; a zabiegi Kom. Piłsudskiego

sudskiego o legalizację ruchu przez władze austr. zostają uwieńczone pomyślnym skutkiem dopiero w 1910 r. przez zatwierdzenie Związku Strzeleckiego we Lwowie, Strzelca w Krakowie, oraz całego szeregu innych związków, które siecią kół objęły ziemie byłej Galicji, Śląska, b. zaboru rosyjskiego, większe ośrodki emigracji polskiej za granicą, sięgając swymi wpływami aż do Ameryki.

Podniosła atmosfera Lwowa w ostatniem 10-leciu przed wojną, wywarła niewątpliwie głęboki wpływ na kształtowaniu się serc i charakterów młodego pokolenia. Liczny udział w Legjonach i w P. O. W. młodzieży lwowskiej, której najidealniejszym typem był bohaterski komendant tajnej org. wojsk. w Królestwie, por. I Bryg. śp. dr. Tadeusz Żuliński, żywiołowy odruch tejże młodzieży w dniach obrony Lwowa 1918 r., wielka popularność i kult Idei legjonowej i jej Twórcy wśród obrońców, czego jednym z licznych dowodów jest nazwanie eksponowanej placówki „Redutą J. Piłsudskiego" — to są tego wpływu najwymowniejsze, niezaprzeczone przykłady.

M. J. O.

Wśród wspomnień o Komendancie.

(Z.) Pamiętniki, opisy, wspomnienia, a także i większe prace na tle historji ostatnich czasów, bezwzględnie kto je pisze lub notuje — obracać się muszą około osoby *Józefa Piłsudskiego*, który w ostatniem pięćdziesięcioleciu zgrupował obok siebie cały ruch niepodległościowy i przygotowanie do zbrojnego zdobycia wolności — przeprowadził w należytym kierunku, znacząc w zwycięskim pochodzie granice Rzeczypospolitej.

Wspomnień, notatek i uwag, dotyczących Komendanta, jest tak wiele, że niepodobna w jednym artykule wymienić je. Dlatego umieścimy tylko kilka, charakteryzujących Wielkiego Człowieka ostatniej doby. Wybieramy je z pism kilku kronikarzy i pisarzy z różnych czasów, by tem bardziej naświetlić wybitne i jasne rysy przez Opatrzność zesłanego nam męża stanu i wodza.

I tak: *Kazimierz Pietkiewicz* w dłuższej pracy „O czasach pepeesowych i przedpepeesowych słów kilka" — w książce „Księga pamiątkowa P. P. S." — wspomina o Komendancie (1893—1893):

„Piłsudski był właściwie nowicjuszem w sprawach ruchu robotniczego i musiał się tego dopiero od nas, doświadczonych — uczyć. Natomiast miał doświadczenie zesłańca.

Piłsudski parł w kierunku wzniesienia się na wyższy szczebel hartu, odwagi, godności osobistej — tak w wystąpieniach zbiorowych, jak i w zachowaniu się jednostek. Był zdania, że nie należy w Cytadeli wykłamywać się i „wykręcać sianem", ale trzeba mieć odwagę powiedzieć „nie powiem" i wytrwałość w znoszeniu następstw. Był pełen wstrętów moralnych, nie lubił „brudnych miejsc", nie dopuszczał brudnych słów w obcowaniu ze sobą. Wzbudzał nieograniczone zaufanie do siebie i ludzie nie czuli się nigdy tak swobodnymi i bezpiecznymi, jak kiedy Piłsudski u nich nocował — on — nielegalny, poszukiwany przez żandarmerję i policję... Dla przyszłego organizatora bojowców i wodza Legjonów charakterystyczną jest powściągliwość w szafowaniu odwagą tak cudzą jak i własną i unikanie awantur, mogących zaszkodzić sprawom poważnym; szafował dopiero z niezachwianą stałością, gdy nadeszła ku temu rzeczywista potrzeba". „Stworzymy — mówił — nowy prąd, utwierdzimy nowy kierunek, a wówczas można sobie i posiedzieć w kozie lub na zesłaniu z czystem sumieniem".

Zaś *Feliks Perl*, zmarły niedawno poseł na Sejm i znakomity dziennikarz i historyk, pisze w „Szkicu dziejów P. P. S."*): „Przyszła wojna rosyjsko-japońska. ...Odrazu wzmogła się i rozszerzyła się działalność agitacyjna partji. P. P. S. odrazu zrozumiała, że w takich czasach słowo czy druk nie wystarczają, że trzeba stopniowo iść po drodze walki orężnej. Z całym naciskiem podkreślił to Józef Piłsudski, który zresztą poczynał sobie ostrożnie, ostrzegał przed niecierpliwieniem się i rzecz organizował w ten sposób, aby od rzeczy małych przechodzić do większych, coraz większych. Zorganizowano t. zw. bojówkę techniczną, której głównem zadaniem było osłaniać zbrojne manifestacje, skierowane przeciw caratowi. Jakoż w końcu 1904 r. odbył się cały szereg zbrojnych manifestacyj, z których najważniejszą i najkrwawszą była demonstracja 13 listopada na placu Grzybowskim".

W dalszym ciągu czytamy: „...Józef Piłsudski, który stał na czele utworzonej przez P. P. S. w roku 1905 „organizacji spiskowo-bojowej", dążył do tego, aby akcji zbrojnej nadać charakter planowy, aby ją stopniowo rozszerzać aż do rozmiarów powstania, kiedy organizacja bojowa będzie się mogła stać kadrami dla zrewolucjonizowanych mas".

Wkońcu notuje Perl: „Począwszy od 1908 r. na widnokręgu coraz wyraźniej pokazywało się widmo wojny. ...Dla P. P. Sowców nie ulegała żadnej wątpliwości zasadnicza przesłanka, że ponieważ zabór rosyjski jest ośrodkiem sprawy polskiej, ponieważ bez wyzwolenia zaboru rosyjskiego nie

*) Księga pamiątkowa P. P. S. Warszawa 1923

może być mowy o zdobyciu niepodległości — należy podczas wojny zwrócić się przedewszystkiem przeciwko najazdowi rosyjskiemu, dalszą taktykę uzależniając od rozwoju wypadków. W tej myśli Józef Piłsudski rozpoczął nową akcję — przygotowywania kadrów wojskowo-powstańczych".

*
* *

W wspomnieniach p. t.: „Blade Twarze" Tad. Długoszowski poświęca Komendantowi te oto słowa:

„Starzy partyjnicy, nasi nauczyciele rewolucyjni, byli dla nas młodych żywymi wzorami o różnej, bez wyjątku pięknej przeszłości. Nad wszystkiemi górował „Ziuk" Piłsudski.

Wszyscy, bez różnicy poglądów, czcią prawdziwą otaczali jego dobre imię. Ten chmurny, zamyślony, z nastrzępionymi wąsami, półlitewski karmazyn miał jakiś hypnotyzujący wpływ na otaczających go ludzi. Gdy przemawiał w zamkniętem kole towarzyszy — stawał sobie z papierosem w ręku i spokojnie, niby przy kominku, wykładał swoje racje, podnosząc zacięty, uparty głos w momentach, które go żywiej poruszały. Miał swoich wielbicieli, miał przeciwników, ale wszyscy, jedni i drudzy, szanowali go bardzo.

Pamiętam jedną z konferencyj partyjnych w Krakowie w 1911 roku. Tematem rozpraw była sprawa opozycji, jaka powstała w P. P. S. z powodu taktyki w robocie „krajowej".

Młodzi „krajowcy" żądali rozszerzenia pracy. Starzy, na czele których stał Piłsudski z Jodką, uważali, że trzeba wrócić do roboty „od podstaw" i że m. in. trzeba szykować „oficerów dla przyszłej polskiej rewolucji". Był to czas, kiedy Piłsudski tworzył na terenie Lwowa i Krakowa Związki Walki Czynnej — a potem „Strzelca", do którego wciągał przedewszystkiem młodzież akademicką, rzucając ją co każde wakacje — na wywiad wojskowy „do kraju".

Zawsze nasrożony, z nasępionemi brwiami, z obwisłymi wąsiskami, z rękami w kieszeni chodził po Krakowie, odprowadzany oczami szpiclów carskich i austrjackich, którzy go w specjalnej mieli opiece.

Na tej „opozycyjnej" konferencji miałem zaszczyt przemawiać jako „krajowiec", który dopiero co zwiał z Warszawy. Mówiłem o żalu robotników do inteligencji, o potrzebie powiększenia sił do propagandy, o konieczności zwiększenia łącznika między Krakowem a Warszawą i Łodzią i o tem, że robotnicy nie mogą pogodzić się z taktyką ustępowania na oportunistyczne pozycje.

Piłsudski odpowiadając innym, odpowiedział i mnie także. Nazwał nas wówczas „smarkaczami", a siebie prokuratorem i zarazem obrońcą ruchu rewolucyjnego, zaś niektóre występy organizacji bojowej — „skandalem". Najwięcej przypadło mu do gustu pewne powiedzenie Juljusza Kadena-Bandrowskiego, który spór między opozycją a starymi nazwał sporem dwóch kaczek, ciągnących jelita w dwie strony.

— Ot, dowcipnie powiedziane! — opinjował stary „Ziuk" w imieniu starych.

Gdy tylko coś ważnego trzeba było decydować — zawsze stary „Michał" mówił: „pójdziemy do „Ziuka". I szli. I tam dopiero postanowiono.

Piłsudski wbrew krakowskim obyczajom, nie pokazywał się w kawiarniach. Pracował od wczesnego ranka. Ślęczał nad materjałami ruchu powstańczego 1863 roku, który był jego specjalnością. Dom Nr. 15 przy ul. Szlak w Krakowie był pilnie strzeżony przez szpicli obu zaborów. Nikt też z nas nie chodził tam bez potrzeby. Najczęściej załatwiało się sprawy przez „skompromitowanych" partyjników, do których należała stara gwardja krakowska z Sulkiewiczem na czele".

*
* *

W „*Krytyce*", niezmiernie zasłużonym dla ruchu niepodległ. miesięczniku krakowskim, umieścił w zeszycie lutowym 1913 r. — a więc na dwa blisko lata przed wojną — Wilhelm Feldman (Junius) w „Szkicach o współcz. politykach polskich" dłuższą rozprawkę o Józefie Piłsudskim.

Autor powtarza wpierw pierwszą notatkę o Piłsudskim, która ukazała się w „Przedświcie" z 1901 r. po ucieczce z więzienia, poczem w pięknych słowach omawia dzieje Piłsudskiego, opowiedziane przez niego samego w „Promieniu" z r. 1903 i przytacza to, co Roman Dmowski w „Przeglądzie Wszechpolskim" z 1903 r. w notatce „Historja szlachetnego socjalisty" o Piłsudskim napisał.

„Bo jeżeli człowiek — pisze Dmowski — łagodnego, cywilizowanego charakteru, z niepoślednim poziomem umysłowym, a zatem człowiek, który musi mieć odpowiednio wysokie potrzeby, skazuje się na życie w ciągłym niespokoju i niebezpieczeństwie, jeżeli trwa w tem życiu pomimo kilkuletniego zesłania na Syberję i pomimo dłuższego więzienia, jeżeli przy silnie nadwątlonem zdrowiu prowadzi w pogodzie ducha nieustanną egzystencję tropionego wilka, byle służyć swej ukochanej idei, to każdy się zgodzi, że człowiek to pod względem siły moralnej wyjątkowy". Pomimijam — odpowiada Feldman — tu sposób pojmowania kultury bardzo charakterystyczny dla p. Dmowskiego („człowiek z niepoślednim poziomem umysłowym, *a zatem* (!) człowiek, który musi mieć odpowiednio wysokie *potrzeby")* — wypowiedziano tutaj wszystkie najlepsze, co przeciwnik mógł wypowiedzieć. Ale chciał autor dojść do jakiejś specjalnie w guście Dmowskiego apoteozy, kończy więc: taki bohater nie jest socjalistą: jest on organizatorem polskości, do socjalizmu przywiązanym młodzieńczemi siłami moralnemi, podpartemi później sztuczną konstrukcją umysłową.

O ile p. Dmowski wyjątkowo objektywnie

ocenił charakter J. P., o tyle zraził jego duszę. Zgoda na to, że P. nie zmieści się w szufladzie niemieckiego lub rosyjskiego marksisty: Marks tam by się także nie zmieścił, jak wogóle żadna silna indywidualność jednostkowa i narodowa. Poeci tylko odczują ją, uplastycznią, jak to próbowali z postacią P.: naogół, gdy chodzi o kategorję — jest on jednym z pionierów socjalizmu polskiego, odmiennego oczywiście, niż niemiecki lub rosyjski, ale bliższego mu niż n. p. Dmowskiemu.

Ogromnie polska ta natura nie szła w życie poprzez żadne doktryny: uczuł się atoli P. w swoim żywiole, gdy, jak w wezbrane fale, wszedł w zastępy robotnika polskiego, wsłuchał się w tętno jego serca, w krzyk jego potrzeb, których wykładnikiem — socjalizm. Socjalizm, jako zaprzeczenie wszelkiej niewoli: tak u kapitalizmu, jak i, może przedewszystkiem, u najazdu, stworzenie wyższego bytu, prawdziwie uspołecznionego.

Kto przeczyta książkę, jaką wydał P. („Walka rewol. w zaborze rosyjskim" Kraków 1905), nie będzie mógł się oprzeć bijącej stąd sile duszy.

Krystalicznie jasna, wśród bojów i przygód dziwnie pogodna, jak stal hartowna, a — gdy trzeba — jak stal groźna: źwierciadło człowieka o pogodnym śmiechu i jasnym błysku oczu, które jednak w pewnych chwilach pod krzaczastemi brwiami zaczynają się żarzyć, jak u wilka.

Poeta przemawia z tej książeczki, opiewającej losy „bibuły" rewolucyjnej, zarazem człowiek, który bezwzględnie w służbie idei działa i do działania niezrównanie umie prowadzić. Człowiek, który w latach dziewięćdziesiątych, gdy cała P. P. S. w Królestwie i na Litwie składała się — jak mówiono ironicznie — z dwóch inteligentów, był jednym z nielicznych, kierował ruchem, utrzymywał stosunki z „dzikiemi nacjami" z bliższego Wschodu, pisał, układał, kolportował „Robotnika", igrał z niebezpieczeństwem i wychowywał masy.

Jest pewna romantyczność w tem potężnem życiu; „szlachecką" — nazywają przeciwnicy, jakoby „szlachcicami" polskimi byli np. Mazzini, Garibaldi i ich uczniowie, którzy oswobodzili kilka narodów europejskich. Jest szeroka dusza, do której stosunki tylko nie dorosły, która musi się wymieniać na tysiące drobnych czynów; nic też dziwnego, że te czyny, zamierzone zawsze na dalszą metę, nieraz rozsadzają ciasne warunki.

Rozsadzały one niejednokrotnie warunki działania rewolucji 1905—7 r., gdy wielkie zamierzenia początkowe, dążące do wyzyskania wojny rosyjsko-japońskiej dla sprawy polskiej, się nie powiodły: gdy skrzyżowawszy się z R. Dmowskim, pomocy nie znalazły u śmiertelnego, zdawało się, antagonisty Rosji.

W ciasnych warunkach nagromadzona suma energji skłębiała się, zaczęła wybuchać... Czy wśród błędów, popełnionych wówczas przez rewolucję, nie było też win Piłsudskiego? Historja kiedyś opowie. Nam pozostaje wskazać, że nie mają prawa rządzić ci, co zaniedbali materjał ludzki przez długie lata, potem jęli domagać się odeń anielstwa. Wskazać dalej, że w chaosie smutnych nieraz wypadków zrodził się wówczas niezaprzeczony, nowy czynnik: robotnik polski, gotowy do pracy narodowej, w olbrzymiej mierze dzięki właśnie takim jednostkom, jak Piłsudski; nareszcie, że Józef Piłsudski był *jednym z pierwszych*, co z ówczesnej działalności bojówek wynieśli myśl jasną i stanowczą: ubojowienia społeczeństwa przez wychowanie fachowych kierowników militarnych dla ruchu ludowego.

Daleki od marności polityki galic., także od roboty socjalist. na gruncie galic., stał się jednym z pionierów kultury militarnej. Szeroka, silna dusza znalazła dla siebie pole i całą swą energję obraca na wzmocnienie materjału ludzkiego i obwarowanie podług wskazówek syntezy historycznej polskiej i międzyeuropejskiej.

Odczyty Piłsudskiego z tej dziedziny, wygłaszane w gronie naukowych fachowców, wywołują jednogłośne uznanie; ramię jego organizatorskie tworzy najbardziej realną siłę; w znoju życiowym, trudzie i niebezpieczeństwie dojrzała myśl wskazuje narodowi politykę — djametralnie przeciwną tej, którą krzewi „człowiek z niepoślednim (?) poziomem umysłowym, a zatem człowiek, który musi mieć oodpowiednio wysokie potrzeby", Roman Dmowski, czyniący to zdanie w bezwiednej może chwili wyrzeczone, programem narodowym, ideałem życiowym, wylęgarnią optymizmu i filisterstwa, prawdziwej tej zgnilizny, z której najplugawsze lęga się robactwo.

Polityka to mocy i swobody, do której, marząc o Grekach i Rzymianach, bezwiednie rwał się ongi chłopiec, dla której lała się krew najszlachetniejszych w Polsce, która walką o wolność stworzyła co ludzkość posiada najpiękniejszego i przygotowuje podstawę do dalszych wyzwoleń. Czy nadchodzące wypadki podstawę tę stworzą? Miejmy nadzieję, pomoc i ufność".

W sprawie internowanych i jeńców w Kosaczowie.

Od p. Stanisławy Sozańskiej w Kołomyji, znanej działaczki kresowej, otrzymujemy poniżej podaną relację, uzupełniającą i wyjaśniającą niektóre fakty, mylnie podane w sprawozdaniu Komitetu, umieszczonem przez nas w nr. 53 Panteonu Polskiego. Umieszczamy relację tę dla wyjaśnienia i historycznego ustalenia działalności osób i zaszłych wypadków.

„Jako była przewodnicząca Obozu (sekcja Komit. Kosaczów) muszę sprostować niektóre fakty, i to: Nie Organizacja powiatowa powołała do pracy Komitet Pań Polek celem niesienia pomocy internowanym, lecz samorzutnie zeszły się Panie z *Komitetu Opieki Legjonowej* w domu p. Miziewiczowej w pierwszych dniach listopada 1918 r. i rozpoczęły akcję ratunkową bez żadnego programu, a dopiero później weszły w kontakt z Organizacją, która właściwie była nieczynną. Początkowo każda z pań zbierała prowianty i odzież, które wystarczały, lecz kiedy liczba internowanych wzrastała z każdym dniem i trzeba było racjonalnej akcji, wówczas na zebraniu w domu p. Miziewiczowej wybrano Komitet, na czele którego stanęła p. Miziewiczowa Leokadja. W pierwszych dniach grudnia t. j. 6-go 1918 r., kiedy rusini wyprowadzili wszystkich internowanych z miasta na Kosaczów, podzielono Komitet Pań na sekcje.

Sekcję Kosaczów, t. j. obóz jeńców i internowanych, objęłam jako przewodnicząca, mając do pomocy dyżurne panie: Ludwigową Bronisławę, Lachcikową Stanisławę, Łukowską Witalinę, Klimkiewiczównę Olgę, Niewiadomską Zofję, Zaczkową i Szwajcarównę Jadwigę — prócz tego kilku internowanych panów za zezwoleniem władz ruskich. Otrzymałam przepustki od władz ruskich dla wszystkich pań dyżurnych do wejścia poza druty. Byłam też codziennym świadkiem rozegranych tragedji tamże. Również nie p. Hartfelder odbierał prowianty od pań z Komitetu poza drutami i nie on jedynie miał wstęp do obozu dla internowanych Polaków. Długo przed przybyciem p. Hartfeldera na Kosaczów Komitet Pań dostarczał prowianty i opiekował się chorymi w szpitaliku. Miałam prawo wejścia nietylko do tak zwanego „taboru", do kancelarji, lecz i do kuchni. Założyłam tam szpitalik, w czem były pomocne Felicja Dwernicka i Zofja Łopatkowa. Za staraniem Komitetu, o co wówczas prosiła Organizacja, uwolniono p. Hartfeldera, t. j. po kilkudniowym pobycie na Kosaczowie, poszedł on za poręczeniem na prywatne mieszkanie. Dlatego, że mieszkaniem miał blisko obozu na Kosaczowie, postarał się Komitet u władz ruskich o pozwolenie dla p. Hartfeldera, by miał wstęp do obozu, celem załatwiania zleceń Komitetu. O godz. 5 — 7 wiecz. codziennie odbywały się posiedzenia u p. Miziewiczowej i rozdzielono pracę, więc i p. Harfelderowi dawano zlecenia, był więc łącznikiem tylko w tem znaczeniu. Bardziej zasłużonym i trudniejszą współpracę wziął na siebie również internowany Bazyli Rogowski, pseudonim — Antoni Surowiec. On to, jako P. O. Wiak, maszerował pieszo do odległych wiosek z listem do dworu, prosząc o słomę dla chorych, o drzewo i prowianty, a prócz tego załatwiał tajne wywiady. Nie wiem dlaczego p. sekretarka Antonina Łuczyńska notowała pracę tylko pewnych sympatyków, nawet podczas tak wielkiej niedoli. Jako codzienny, naoczny świadek, stwierdzam, że praca Dra Milewskiego zostawiała bardzo wiele do życzenia. Natomiast prawdziwie z całem poświęceniem pracował Dr. Piaskiewicz Władysław, który niejednokrotnie przybywał nawet w nocy do szpitaliku w Bursie ludowej obok mego mieszkania. Tu *Felicja Dwernicka*, ten anioł-stróż, była prawdziwą opiekunką chorych, a i dwie siostry Januszewiczówne, biedne dziewczęta, pełniły bezpłatnie obowiązki sanitarjuszek. Wszystkie zaraziły się tyfusu, a ofiarą padła Dwernicka, zakończywszy życie w pierwszych dniach kwietnia. Ja jedna zostałam zdrowa, by pójść do więzienia ruskiego dnia 21 marca 1919 r. wraz z mężem. Męża mego wypuścili po 11 dniach, mnie zaś więzili do 24 maja 1919 r. Pierwszy wypadek śmierci w Bursie był w marcu. Umarł Niedzielski, młodzian 20-letni (na tyfus); do niego przyszedł Dr. Piaskiewicz o 2-giej w nocy, drugi raz znów przyszedł Dr. Piaskiewicz do Stanisława Kwiatkowskiego z Gródka Jagiellońskiego, studenta med., który zachorował na atak serca.

Również mylnem jest, by p. Hartfelder nie korzystał z zapomóg pieniężnych, dostał bowiem większą zapomogę z funduszów przysłanych z Warszawy celem wyrównania długów. Nie Komitet Pań otrzymał pożyczkę w kwocie 20.000 kor. z Borysławia, lecz panowie Nafciarze z Drohobycza — Borysławia złożyli 20.000 kor. jako dar wdzięczności za pracę nad internowanymi. Wysłanka z Drohobycza p. Helena Gerżabkowa (żona dyrekt. kopalni) wraz z Dr. Piechowiczem i ks. Chlebińskim (internowanymi) przyszła do mnie ze zleceniem, że tylko na moje ręce ma ową kwotę złożyć; odmówiłam stanowczo, bo skarbniczką była p. Stefanja Jasińska. Udałam się z p. Gerżabkową do przewodn. p. Miziewiczowej, gdzie złożyła hojny dar, jednak na kwicie odbioru i ja musiałam się podpisać, bo taki był warunek ofiarodawców. 48.000 kor. złożył Dr. Tadeusz Kraśnicki, wiceprezes Organizacji, człowiek niezmiernie wielkich zasług, zalet serca i ducha. Również prostuję, że do Komitetu Pań należała Antonina Łuczyńska, a nie Janina; a także należały Michalina i Felicja Dwernickie.

Tyle dla sprostowania i wyjaśnienia podanych faktów.

Stanisława Sozańska.

Z moich wspomnień.

W dniu 12 maja 1915 r., przejściem rzeki Nidy w Kieleckiem, zapoczątkowaną została na linji bojowej 1-szej Brygady Józefa Piłsudskiego wielka ofenzywa, wynikła ze sławnego przełamania frontu rosyjskiego pod Gorlicami w Małopolsce. Na ogromnym terenie, obejmującym ziemie polskie między Nidą a Wisłą, rozgrywała się część bojów pierwszego okresu tej ofensywy, zakończonej z kolei sforsowaniem Wisły. Ośrodkiem podstawy operacyjnej tych działań była dla nas przez dłuższy czas miejscowość Konary, stanowiąc wówczas węzeł dla całego szeregu innych miejscowości, będących jeszcze w posiadaniu nieprzyjaciela i z tego powodu bardzo intensywnie szturmowanych przez oddziały naszej piechoty. Tutaj, krwawymi zgłoskami utrwaliły się w krótkiej podówczas historji zmartwychwstałego żołnierza polskiego: Płaczkowice, Kozinek, Swojków, Włostów, Beradź, Małżyn, Garbowice, Kaczyce, Domaradzice, Witowice i Przepiórów, przyczem niejeden strumień krwi leguńskiej spłynął do niepokaźnej rzeczki Pokrzywianki.

Dnia 23 maja, okopawszy się, leżeliśmy na wyniosłych, bo panujących nad okolicą stokach parku Konarskiego, z kierunkiem ogólnym na Przepiórów, który zajmował nieprzyjaciel. O wczesnej godzinie popołudniowej 3-cią kompanję II-go baonu 2-go p. p. Legjonów poderwał lakoniczny rozkaz kompanijnego: „Działając w związku z 4-tą komp. na prawem skrzydle, przystąpić bezwłocznie do natarcia na Przepiórów". Po przebyciu strumienia, opływającego majątek Konary, zajęliśmy stanowiska wyjściowe u podnóża parku. Skoro pojawiliśmy się na widnokręgu, rozpoczął się piekielny kontredans przy akompanjamencie armat, dalekiego ognia karabinów maszynowych oraz piechoty nieprzyjacielskiej. Zdziwiło mię, że pomimo natężonej mocy tego ognia i pozornej jego celności, straty przy posuwaniu się naprzód mieliśmy stosunkowo małe. W trakcie nacierania straciliśmy dzielnego Dowódcę 3-go plutonu, ppor. Marynarza (pseudonim). Bliska przyszłość ujawniła, że dotkliwsze ciosy czekały nas dopiero po osiągnięciu odległości szturmowej. Nieprzyjaciel, doskonale okopany i umocniony, trzebił nas niezmordowanie. Śmierć zbierała krwawy plon, przebierając, jak zwykle, w najdzielniejszych i najlepszych. Zginął więc — do ostatka bohaterski — pełen poświęcenia dla Sprawy i dla tych zalet ukochany przez wszystkich, Dowódca komp. śp. por. Oset-Kwieciński. Nigdy nie zapomnę tego nieustraszonego oficera, który z nieopuszczającą Go na moment iście angielską flegmą, prowadził i odpierał ataki, mając za całe uzbrojenie nasze wierne serca żołnierskie i małą laseczkę, wyciętą z przydrożnego krzaku jałowca, którą w akcji dowodził niczem kapelmistrz zgraną orkiestrą. Każde skinienie tak przez Niego zaimprowizowanej batuty, rozumieliśmy jak najlepiej. Zwłoki Jego unieśli koledzy w nocy. Pochowano Go na cmentarzu w Jędrzejowie. Wkrótce ppor. Czarny-Krzyżanowski, dowódca II-go plutonu, ranny, wycofał się z walki. Do plutonu tego i ja należałem. W czasie jednego ze szturmów, tuż przy drutach nieprzyjacielskich, poległ mój towarzysz z lwowskich lat dziecinnych, Tadzio Wesołowski. Obok zgasł Żyd ze Lwowa, Bendel, ugodzony śmiertelnie z karabinu maszynowego. Zanim zdążyliśmy Go odciągnąć w tył, otrzymał jeszcze kilkadziesiąt strzałów z tego samego karabinu, bo tornistrem Jego długo jeszcze wstrząsały pociski, szarpiąc plecy leżącego trupa. Tak zginął niezapomniany Bendel, godny spadkobierca idei Berka Joselewicza. Za wymienionymi przyszła kolej jeszcze na wielu, wielu innych, których nazwisk niestety dziś już nie pomnę. Osobiście obronną ręką wyszedłem z tych zaszczytnych kilkunastogodzinnych zmagań. Jedynie przy przebywaniu rzeczki, wezbranej od wiosennych deszczów, dotkliwie zraniłem sobie rękę bagnetem osadzonym na karabinie. Wszystkie nasze szturmy załamały się pod morderczym ogniem nieprzyjaciela, jak również na silnych jego umocnieniach z drutów kolczastych, które z braku nożyc, rąbaliśmy z wściekłością łopatkami.

Wytrwaliśmy do ostatka, gdyż wycofał nas dopiero rozkaz, nakazujący opuszczenie zajmowanych stanowisk o świcie dnia 24 maja, co się też stało.

Zapadła noc. Wśród jazgotu bitewnego i jęków rannych, płonęła wieś Przepiórów, zapalona ogniem naszych bateryj. Stronami czerwieniły się łuny płonących wsi okolicznych. To 1-szy pułk Śmigłego krwawił się ich zdobywaniem. Czułem się zmordowany marszami i walkami trzynastu ostatnich, podwójnie gorących dni. Po północy zaczęło braknąć nam amunicji. Moja kolejka. Przywlokłem na pasie skrzynkę tego drogocennego materjału, poczem przykucnąwszy... usnąłem w najlepsze. Mogłoby się wydawać, że uśnięcie w obliczu nieprzyjaciela podczas akcji, jest rzeczą conajmniej karygodną, o ile nie hańbiącą; lecz cóż poradzić, kiedy odporność na trudy — siedemnastoletniego młodzieńca tym razem zawiodła. Na domiar złego, było nas już wówczas za mało, by drzemka moja mogła być zauważoną...

Obudziła mię cisza, panująca na froncie. W momencie kiedy się ocknąłem, wstawał jasny, pogodny, majowy poranek. Pola przepiórowskie, obsiane bujnem i dorodnem już wówczas żytem, iskrzyły się od rosy, aż oczy bolały. Nad niemi

unosiły się beztroskie skowronki, które wydzwaniały swoje poranne pieśni, zdając się zapominać o piekle minionej doby. Z pobliskich łąk wstawały opary. Ani jeden strzał nie zakłócił mojego przebudzenia... Zaglądam do sąsiednich okopów — puste. Wychylam głowę, ażeby zorjentować się, co się dzieje na przedpolu i widzę przed sobą kilkunastu sanitarjuszy nieprzyjacielskich, przetrząsających skrupulatnie kieszenie poległych kolegów. Za nimi, jak na dłoni, widnieje gęsto najeżona „sztykami" linja nieprzyjacielska. Decyzja nastąpiła szybko: Nasi wycofali się — niema tu co robić. Zarzucenie tornistra na plecy było dziełem kilku sekund. Ostrożnie zdjąłem karabin z przedpiersia i wykorzystując jako zasłonę kołysane wietrzykiem zboże, poczołgałem się w kierunku przeciwnym obserwacji, a dopełzawszy do miejsca, w którem teren opadał, bez przeszkód dostałem się do rzeczki, którą podobnie jak poprzedniego dnia przebyłem wbród. Wkrótce przesłoniły mię opary, które roztoczyła dobroczynna pogoda. Wybór kierunku odwrotu nasunął mi się z łatwością. Zdala widniał tak dobrze mi znany — a teraz kąpiący się w słońcu — dwór konarski. Ku niemu skierowałem swoje kroki. Po przebrnięciu strumienia, stromym zboczem zadrzewionego parku począłem piąć się pod górę. Szedłem znajomą ścieżyną, prowadzącą do opustoszałego mieszkania właściciela, rozmyślając, dokąd mogła podążyć kompanja i gdzie jej szukać. Rozmyślanie moje przerwał widok, który mię zaskoczył, o ile nie przeraził. W odległości kilkudziesięciu kroków ujrzałem wyniosłą postać Komendanta, opartego o węgieł domu... Najbardziej wysunięty w stronę nieprzyjaciela, samotnie obserwował przedpole. Stał, jakby na posterunku, bacząc, by wróg nie zaskoczył Jego „chłopców", wypoczywających po trudach we wiosce położonej w tyle. Musiał przytem ważyć szanse stoczonej bitwy. Przez mózg — błyskawicą — przemknęły mi myśli: „Widział mię, czy nie widział? Na pewno widział". Co będzie, skoro zatrzyma się i zapyta co robiłem na przodzie i czemu tak późno wracam? Trzeba będzie przyznać się. A skoro Komendant zwymyśla mnie, dlaczego nie przyprowadziłem Mu języka? To najgorsze — niech się dzieje co ma być!" Doszedłszy na przepisaną odległość, przyciągłem karabin, wyprężyłem się jak mogłem i obdarty, przemoczony oraz umazany gliną, oddałem należne honory. Komendant skinął ręką, kilkakrotnie potaknąwszy głową. Na nieruchomej, marsowej Jego twarzy zauważyłem spływającą łzę... Do dzisiejszego dnia nie wiem, czy ówczesna moja obserwacja była trafną, czy też spostrzeżenie to spowodowało przemęczenie, i najprawdopodobniej nigdy się nie dowiem, zwłaszcza, iż jestem pewnym, że epizodu tego nikt prócz mnie nie widział — nawet sam Komendant.

Pomyślcie — czy za taką jedną łzę, zbiegiem okoliczności podpatrzoną w oku Wodza — nawet, gdyby ona była tylko przewidzeniem, — nie odpłacalibyście Mu miłością i wiernością do ostatniego tchu?!

A. R.

Dr. JAN ROGOWSKI.

W szkole podoficerskiej Legjonów w Kamieńsku.

I.

W niedzielę, dnia 21 marca 1915 r. opuściłem Wiedeń. Brat, Józef, odprowadził mię na dworzec kolejowy.

Noc spędziłem wcale wygodnie: ułożyłem się na półce, chlebak pod głowę i wyspałem się.

22 *marca*. Wstało słońce promienne — i ujrzałem ziemię ojczystą. Tu i ówdzie zielenią się już smugi; gdzieniegdzie zabieli się płat śniegu. Lasy biegną — to bliższe, to dalsze. Sosny nasze, białe brzozy, jałowce po piaskach rozrzucone. Wierzby nad strugami i rozlewiskami wiosennemi...

Podziwiając krajobraz, dojechałem do Trzebinji. Tutaj przesiadam się do innego pociągu — i jadę do Granicy.

Mam już towarzysza podróży, jedziemy razem do Nowo-Radomska. Rozmawialiśmy dużo o legjonach, o rozwiązaniu legjonu wschodniego i t. d.

Około godziny 11 przed południem przejeżdżamy byłą granicę rosyjską. I oto już Granica!

Na każdej prawie stacji dzieci otaczają wóz skomląc: „Niech pan da centa!" I przypomniałem sobie wówczas, że to wojna.

Naprawdę — żałoba spowiła całunem tę ziemię nieszczęsną.

Jedziemy dalej.

Wzdłuż toru stoją w pewnej od siebie odległości żołnierze pruscy — brodaci, ponurzy, z przerzuconym jakby niedbale przez ramię — karabinem... Okazują się pierwsze oznaki, a raczej skutki wojny: miny wysadzonych w powietrze mostów, pokręcone szyny i t. d. Dworce w Zawierciu i Myszkowie zupełnie zniszczone.

Jedziemy pociągiem towarowym na platformie wagonu. Marzniemy, co się zowie. Jedzie nas czterech.

Dojeżdżamy do Częstochowy.

Wyniosła wieża Jasnogórska rysuje się wyraźnie na tle nieba.

Ufność wstępuje w serce twoje i otucha.

Usta szeptać poczynają: „Pod Twoją obronę".

Wieczorem przyjechaliśmy do Nowo-Radomska. Jeden z towarzyszy podróży zaprowadził mię na kwaterę.

I odrazu ogarnął mię wspaniały gwar polskiego żołnierskiego życia.

23 marca (wtorek). A to życie żołnierskie — polskie życie żołnierskie — ma ciekawe jakieś rysy. Trudno mi odrazu podać owe rysy; odczuwam je bardzo dobrze, ale trudno mi je odrazu zdefinjować. Do definicji pójdę drogą indukcji — drogą kreślenia charakterystyk poszczególnych żołnierzy. To tylko teraz powiem, że na pierwszy rzut oka widzi się, iż jest to żołnierz wyborny.

Śledzić będę wszystko bacznie.

Siedzę w oknie kwatery i patrzę na rynek nowo - radomski.

Rynek duży, licho brukowany, — kościół biały w rogu. Automobile stoją na środku rynku. — a obok nich jakiś wóz, naładowany słomą.

I w tym Nowo - Radomsku organizuje się oddział legjonowy.

Młodzież garnie się licznie i ochotnie do legjonu: idea legjonów zyskuje na sile. Zdaje mi się, że wszyscy coraz lepiej rozumieją, że trzeba naród postawić pod bronią.

Ochotnicy, którzy wczoraj i dzisiaj przyjechali, mają stanąć przed lekarzem: czekamy właśnie na niego.

Chłopcy nasi z Piotrkowa, Tomaszowa, Sosnowca, otrzymują w „papierach" — „obywatelstwo" austrjackie i przynależność do Lwowa i Krakowa.

Wzywają nas do lekarza; przyszła wreszcie i moja kolejka. Uznano mię za zdolnego, dostanę okulary, bo mam krótki wzrok, — no i zobaczymy, co będzie...

Złożyliśmy zaraz przysięgę; przysięgało nas dwudziestukilku. A przysięgaliśmy niestety wierność — cesarzowi Austrji, apostolskiemu królowi Węgier — i „da Bóg królowi polskiemu"...

Był więc ten dodatek.

Po przysiędze poszliśmy na obiad. Pierwszy obiad w legjonie smakował mi bardzo: był bardzo dobry rosół, mięso, ziemniaki.

Po południu przydzielono nas do kompanji. Ja dostałem się do drugiej.

Poznałem kilku sympatycznych chłopców, np. Motylewskiego, artystę scenicznego z „Bi-ba-bo", Żychlińskiego, studenta z Piotrkowa i innych.

24 marca (środa). Spałem licho: w kwaterze było zimno, płaszcz zbyt nie grzał, było ciasno...

Po żołnierskiem śniadaniu: — czarna kawa i kawałek chleba — ćwiczenia aż do południa.

Zwroty, formowanie czwórek, marsze i t. d., a więc wszystko to, co już dobrze umiem. Kilka plutonów odjeżdża dziś na plac boju.

Mówią, że Moskale zdobyli Przemyśl — i to jest prawdą. Wszystkie forty miały wylecieć w powietrze, — ale ostatecznie Przemyśl w ręku Moskali.

Wróćmy jednak do naszego żołnierskiego życia.

Podoba mi się bardzo Żychliński, z którym razem mamy iść do artylerji. Ciekawym bardzo, czy nam się to uda?

Po południu mieliśmy wykład o służbie wewnętrznej, a wieczorem udaliśmy się do herbaciarni. Legjoniści dostają za darmo dwie szklanki bardzo dobrej herbaty; chleb lub ciastka trzeba już sobie kupić. Wiary tu moc i wokół brzmi gwar bujnego, żołnierskiego życia...

25 marca (czwartek). Święto Zwiastowania Najświętszej Panny Marji.

Była msza św. — potem defilada.

Jak to pięknie iść w szeregu, przy dźwięku trąbki...

Przydzielono mię razem z Żychlińskim do 3-go plutonu.

O godzinie 2-iej był rozkaz dzienny. Komendant baonu uzupełniającego, Galica, oznajmia w nim wyjazd I kompanji na pole walki; chwali dzielną postawę, zapał, dziarskość wyjeżdżających i zachęca nowozaciężnych do naśladowania ich. Do godz. 8-ej wieczorem byliśmy zupełnie wolni — poszła więc wiara do miasta. A mamy tęgą wiarę: chłopcy inteligentni, pełni ochoty, zapału, krótko mówiąc — miło być w takiem gronie.

Kupiłem sobie dzisiaj „Wiadomości Polskie", organ Legjonów.

Gazeta dobra; podobał mi się zwłaszcza artykuł pierwszy p. t. „Idea legjonu, a dążenie demokracji". W artykule tym podkreślona jest różnica między Polską a Rosją: Polska była dobrem podłożem dla prądów demokratycznych, które natomiast w Rosji szerzyły się ze znacznem opóźnieniem.

26 marca (piątek). Przed południem ćwiczenia — rozwijanie się w tyraljery, wykorzystywanie terenu, „kawalerja na lewo" i t. d.

Drobny śnieg, jabky igiełkami siekł twarz, ciężko było gonić w wysokich butach z cholewami. Ale mimo wszystko przyjemnie, bo jest się w towarzystwie nad wyraz porządnych ludzi.

Starsi w służbie mają surową twarz, ale już na „spocznij" surowość owa znika, a cóż dopiero poza służbą...

Po południu sekcyjni spisali rzeczy, jakich każdy z nas potrzebuje (a jakich raczej nie ma). Zażądałem więc koca, spodni, butów i t. d.

Potem komendant plutonu miał wykład o ubezpieczeniach w obozie i w pochodzie. Mamy tu jednego „morowego" żołnierza, który chcąc uniknąć austrjackiego pospolitego ruszenia, zgłosił się do legjonu, teraz twierdzi, że służba wojskowa nie na „jego stare lata" — no i dokłada wszelkich starań, by i z legjonu dać nura. Wysłałem kartki do brata, do znajomych; wszystkim donoszę o szczę-

śliwym przyjeździe do Nowo-Radomska. Do Stefana napisałem: „Naprawdę — teraz jest tylko jedna polska racja stanu, stworzyć polską siłę zbrojną".

Profesorowi Skoczylasowi posłałem do Wiednia garść wrażeń z podróży — z prośbą o przyjęcie do druku w „Tygodniku Ilustrowanym".

Dzisiaj w herbaciarni aresztowano jednego z nowo przybyłych pod zarzutem szpiegostwa. Jako podejrzanego miał go wskazać jeden ułan z Warszawy.

27 marca (sobota). Jesteśmy na ćwiczeniach. Uczą nas zachowania się na placówce i wedecie. Dzień ładny, słoneczny, ale chłodny. Widziałem pierwsze rowy strzeleckie, z których mieli swego czasu korzystać Moskale. Plutonowy powiedział nam, że prawdopodobnie w pierwszych dniach kwietnia pójdziemy w pole.

Twierdza Osowiec została zdobyta przez Niemców.

Po powrocie z ćwiczeń część plutonu poprowadzono na wartę. — i ja należałem do tych „wybrańców".

A na wartowni zimno, szyba wybita; położyć się na słomie nie można, — bo podobno — roi się od wszy...

Obiad nam przyniesiono, a było go tyle, że można się było dobrze najeść.

Jest w naszym plutonie niejaki Bojanek, z którego wszyscy mamy wielką uciechę. Poczciwy jakiś człowieczyna, — dziś np. na ćwiczeniach, stojąc na placówce, oddał komendantowi karabin. „A człowiek śpi dlatego, — według jego zapatrywania, — że ma pod wątrobą pęcherzyk z powietrzem".

Noc spędziłem prawie zupełnie bezsennie: co najwyżej godzinę drzemałem na ławce, poza tem sześć godzin (w sumie) stałem na straży — to magazynu, to więzienia, to biura rachunkowego.

28 marca (niedziela). Staliśmy na warcie o 3 godziny dłużej, niż powinniśmy. Dopiero o 3-ciej po południu zluzowano nas z warty — więc byliśmy wszyscy... bardzo zadowoleni. Całe szczęście, że jeszcze dostaliśmy obiad, niezbyt dobry, ale zawsze było położyć coś na ząb.

29 marca (poniedziałek). Rano ćwiczenia; marzniemy porządnie — pogoda prawdziwie marcowa: wiatr zimny, przymrozek, gruda. Boli mię prawa noga, buty mam bardzo niewygodne, a inne dostanę dopiero w czwartek.

Po południu była spowiedź św., bo nadchodzą Święta Wielkanocne, więc kto chciał z żołnierzy, mógł pójść do kościoła, do spowiedzi.

Wieczorem był rozkaz, a o godz. 6-ej wszyscy mogli ruszyć do miasta. Postanowiłem spisywać żołnierskie piosenki; będę je posyłał prof. Skoczylasowi. A zatem pierwsza: „O mój rozmarynie rozwijaj się".

Przed drzwiami naszej kwatery, w porze obiadowej lub wieczornej stoją dzieci i proszą o kawałek chleba.

Jedna dziewczynka opowiadała mi, że tatusia jej zabili Niemcy, w domu jest ich sześcioro, mama utrzymuje siebie i dzieci z prania.

(C. d. n.)

JAN STAROŚCIAK.

Z dywizją polską na Syberji.

Artylerja, po zajęciu dogodnej pozycji, była przygotowana do rozpoczęcia bitwy. Pluton, w którym się znajdowałem, pozostał jako ochrona artylerji, co dało nam możność obserwowania przebiegu walki. Oddziały pod osłoną ognia artylerji, która ze swych potwornych paszcz zionęła setkami pocisków na okopy nieprzyjaciela, posuwały się krokiem miarowym w szyku bojowym ku widniejącym w oddali pozycjom wojsk rosyjskich. Nieprzyjaciel zaczął odpowiadać ogniem działowym, prażąc siarczyście naszą piechotę.

Artylerja była podzielona na dwie części, z których ciężka pozostała na miejscu, kierując ogień na artylerję nieprzyjacielską, zaś lekka wysunęła się bardziej ku nieprzyjacielowi, celom skuteczniejszego ostrzeliwania jego okopów.

Niebawem bój zacięty rozgorzał na całej linji, który trwał do późnego wieczora bez rezultatu, ponieważ obie strony walczące pozostały nadal na swych pozycjach. Pod osłoną nocy oddziały nasze podkradłszy się ku okopom nieprzyjacielskim, przypuściły szturm, który został odparty z poważnemi stratami po naszej stronie, ponieważ nieprzyjaciel był na to przygotowany.

Noc przeszła nam pośród niemilknącego ognia. O świcie dostaliśmy posiłki w postaci całej dywizji i niezwłocznie wszystkie połączone siły ruszyły do generalnego ataku na bagnety.

Zażarta walka zawrzała na całej linji. Tak po naszej, jak i po stronie nieprzyjaciela znajdowały się pułki, złożone z Polaków, których zaborcy gnali na bratobójczą walkę.

Rosjanie, uderzeni straszliwym impetem naszych wojsk, zaczęli się odrazu chwiać, zaś wkrótce, nie mogąc zdzierżyć naszego natarcia, poszli w rozsypkę, uciekając w panice.

Pluton mój, osłaniający poprzednio artylerję, został obecnie ściągnięty i wcielony do głównych sił. Rannymi i zabitymi zajęły się oddziały sanitarne i saperzy, piechota zaś i kawalerja ruszyły nie-

zwłocznie w ślad za nieprzyjacielem w kierunku Zamościa i Krasnostawu. Posuwając się naprzód szybkim marszem, napotykaliśmy nieprzyjacielskie rozbitki, które były brane do niewoli.

Po długim, uciążliwym marszu, wyczerpującym nasze siły, dotarliśmy pod miasto Krasnostaw, opasany trzema korpusami świeżych wojsk rosyjskich. Skoncentrowane tutaj siły nieprzyjaciela przewyższały nas trzykrotnie. Pierwszy nasz atak został zupełnie odparty, a biorące w nim udział siły doszczętnie zniesione. Drugi natomiast atak, skierowany równocześnie na Zamość i Krasnostaw, uwieńczony został pomyślnym skutkiem. Zajęliśmy te dwa miasta, dokazując cudów waleczności, lecz zwycięstwo to opłacaliśmy połową naszych sił.

Nasz dziesiąty korpus został prawie doszczętnie wybity, przeto przechodząc chwilowo do rezerwy, zostaliśmy zastąpieni przez pułki czeskie i węgierskie. Otrzymaliśmy rozkaz maszerować w kierunku Lublina, gdzie od kilku dni wrzała morderecza bitwa na naszą niekorzyść, w której brał udział korpus krakowski.

Idąc przyspieszonym marszem na pomoc naszym oddziałom walczącym pod Lublinem, dotarliśmy do stacji Trawniki, gdzie okazało się, że pomoc nasza przybywa za późno, ponieważ na wspomnianej stacji spotkaliśmy bezładne kupy naszych rozbitków, przedstawiające swoim widokiem obraz zupełnego rozprężenia. Uciekinierzy, wynędzniali, obdarci i częstokroć bez broni, opowiadali nam grozą przejmujące zdarzenia, to też ich panika udzieliła się i nam, powodując sromotną ogólną ucieczkę. Kres tej na całej linji defenzywie położyło dopiero nadejście świeżych rezerw, które okopawszy się i wcieliwszy nas do swych szeregów, dały należyty opór nachodzącym nas wojskom nieprzyjacielskim. Teraz nastąpiła cała serja bitew, które stopniowo dziesiątkowały nasze z nikąd nie zasilane oddziały. Po kilkudniowej niemilknącej na chwilę strzelaninie, około południa usłyszeliśmy gęsty ogień karabinowy na naszych tyłach i ujrzeliśmy kolumny nieprzyjacielskie, idące na nas od strony Jarosławia. Gdy przyszło do walki z przodu i tyłu, okazało się, że nasi oficerowie usunęli się dyskretnie jeszcze poprzedniej nocy wraz z wycofanemi rezerwami, kierując się w stronę Krakowa, nas zaś pozostawili jako zabezpieczenie odwrotu, co równało się pewnej zagładzie. Przyjmując tę nierówną bitwę, opieraliśmy się czas jakiś kilkakroć liczniejszemu nieprzyjacielowi, lecz w końcu zostaliśmy doszczętnie wybici,

Leżąc na przedniej pozycji pół obłąkany bezustannym hukiem dział i trzaskiem karabinów oraz wrzaskami i wyciem walczących, zostałem nagle ogłuszony detonacją tuż obok mnie pękającego granatu, zaś następnie już w półświadomości uczułem na swem ciele grad w rodzaju spadających pocisków, które zwaliwszy się na mnie olbrzymią masą — pozbawiły mię zupełnie przytomności.

Chwila ta wykreśliła mię ze stanu czynnej armji austro-węgierskiej.

Jak długo leżałem w tym stanie nie wiem; dość, że po przyjściu do przytomności, wzrok mój padł na pochylone nademną dobroduszne twarze w okrągłych niskich czapkach, ozdobionych owalem o trójkolorowej barwie imperjum rosyjskiego.

Otaczający żołnierze, uwolniwszy mię z pod zasypanej ziemi, podnieśli mię, wypytując się troskliwie o moje zdrowie. Na moje szczęście byli to dobrzy ludzie, współczujący cudzej niedoli; pochodzili zaś, jak się później dowiedziałem, z dalekiej Syberji. Chcąc zasięgnąć odemnie języka i widząc, że nie znam mowy rosyjskiej, przywołali jednego żołnierza Polaka, który jął mię wypytywać o najrozmaitsze szczegóły naszej armji. Po udzieleniu mu kilku wskazówek, z kolei dowiedziałem się od niego o zajęciu przez wojska rosyjskie Lwowa i kilku innych większych miast Galicji wschodniej. Mając możność rozmawiania po polsku, prosiłem tegoż Polaka o wstawienie się za mną u odpowiednich władz celem przeniesienia mię do szpitala, gdyż z wycieńczenia byłem bardzo chory, a nadto dotkliwie potłuczony przysypaną ziemią. Prośba moja została niezwłocznie powtórzona oficerom, którzy przyrzekli mi, że po przybyciu do Krasnostawu zostanę niezwłocznie oddany do lazaretu.

Tymczasem żołnierze rosyjscy przyprowadzili coraz nowe zastępy naszych jeńców, których liczba wkońcu równała się dobrym trzem naszym kompanjom. Ustawiono nas w kolumnę trójkową i pod eskortą ruszyliśmy w stronę Krasnostawu.

Eskortujący nas żołnierze prowadzili nadal pomiędzy sobą ożywioną rozmowę, gęsto przeplataną gestami, powtarzając raz po raz słowo „swołocz". Zaciekawiony znaczeniem tego wyrazu jakoteż ich niezadowoleniem, zapytałem o to poznanego poprzednio Polaka, który mi wytłumaczył, że słowo to oznacza „bydło", dodając, że wszyscy żołnierze oburzeni są do żywego postępkiem kozaków i wskutek ich niecnego czynu kierują wszelkie możliwe przekleństwa pod ich adresem.

Nad wieczorem tegoż dnia przybyliśmy do Krasnostawu, który od naszego ostatniego w nim pobytu zmienił się nie do poznania, przedstawiając obecnie obraz zupełnego spustoszenia. Po przybyciu do centrum miasta, oczom naszym okazał się olbrzymi oddział jeńców wojennych, do którego nas niezwłocznie przyłączono. Eskortujący nas dotychczas żołnierze oddali nasz oddział innym, a żegnając się z nami, szczerze poniekąd zazdrościli naszej doli, twierdząc, że my teraz jesteśmy przynajmniej spokojni o swe życie i cało w niedługim czasie powrócimy do domu, a oni nie wie-

dzą niestety, co czeka ich w najbliższej przyszłości.

Ku wieczorowi przeszliśmy rzekę Wieprz i dotarłszy do starych koszar kozackich, będących w nader opłakanym stanie, gdyż były pozbawione formalnie dachu, zostaliśmy zapędzeni tu na nocleg. Ściśnieni jak śledzie w beczce, przechodziliśmy formalne tortury, a na domiar złego w nocy począł lać obfity deszcz, który przez sufit, pozbawiony dachu, lał się nam na głowy, jak z cebra.

Nazajutrz, gdy wyprowadzono nas z koszar, nie poznali nas nawet nasi wartownicy. Każdy z nas zmoczony do nitki, wynędzniały, brudny, o poplamionym mundurze, który zatraciwszy swą siwą barwę przez lejącą się wodę zmieszaną z węglem, pochodzącym ze spalonego dachu — był podobnym do kominiarza. Żołnierze rosyjscy, pokiwawszy z politowaniem nad nami głowami, uszykowali nas w szeregi i nie bacząc na nasz obecny stan, popędzili nas po błotnistych drogach w kierunku Chełma, gdzie czwartego dnia weszliśmy.

Na nasze spotkanie wylęgły tłumy tamtejszej ludności, które przyjęły nas wcale nie po przyjacielsko — plując i rzucając obelgi. Straż nasza z trudem utrzymywała porządek, a odganiając natrętny motłoch, przeplatała swoją kontrakcję gęsto nahajką.

Żołnierze rosyjscy, nie zważając bynajmniej na zgotowane nam przyjęcie, porozchodzili się niezwłocznie po domach i sklepach i przy pomocy silnej ręki zdołali zebrać w krótkim czasie sporo chleba, który niezwłocznie pomiędzy nas rozdzielili. Dzięki tylko tym ludziom, współczującym ludzkiej niedoli, mieliśmy możność zaspokojenia choć w części trapiący nas od czterech dni głód.

W mieście spędziliśmy sześć dni, śpiąc pod gołem niebem, poczem popędzili nas w kierunku stacji kolejowej. Tutaj wpakowano nas niezwłocznie do wagonów kolejowych — towarowych — po czterdziestu ludzi, skąd ruszyliśmy w dalszą drogę.

Po kilkudniowej takiej podróży, opóźnionej skutkiem parugodzinnych postojów na każdej niemal stacji, dojechaliśmy do Kijowa, przyjęci nader gościnnie przez tamtejszą ludność. Po oprowadzeniu nas ostentacyjnie przez całe prawie miasto, spędzono nas do starych koszar w twierdzy, gdzie przystąpiono do szczegółowej rejestracji.

W Kijowie pozostawaliśmy czternaście dni. Następnie zaprowadzono nas znowu na stację, rozmieszczono jak poprzednio w wagonach i ruszyliśmy w dalszą drogę, mając marszrutę na Sybir. Po drodze urządzane były tak zwane „pitatielnyje punkty", gdzie korzystaliśmy raz na dzień z gorącej strawy, złożonej stale z zupy, kaszy jaglanej, kawałka mięsa oraz porcji chleba, wydawanego na wagon mający 32 ludzi, w ilości dwóch bochenków, z których każdy ważył przeszło czterdzieści funtów rosyjskich, a rozmiarem swoim równał się kołu młyńskiemu.

Po długiej i ciekawej dla nas podróży, wjechaliśmy w góry uralskie, gdzie też minęliśmy słup granitowy, stanowiący granicę pomiędzy Europą i Azją. W czasie drogi ludność również tutaj odnosiła się do nas przychylnie, a nawet dawała zupełnie bezpłatnie produkty.

W końcu przybyliśmy do miasta Omska, centrali jeńców wojennych całej Syberji, gdzie umieszczono nas w olbrzymich barakach, pozostałych z wystawy maszyn, a obecnie przeznaczonych na koszary dla jeńców. Tutaj spędziliśmy całą zimę, nie mogąc się bynajmniej pochlubić dobrem powodzeniem, a to ze względu na nieodpowiednie pożywienie, wilgotne baraki oraz zupełny brak choćby najmniejszej opieki sanitarnej.

Z nastaniem wiosny szeregi nasze zostały przerzedzone, ponieważ część leżała chora, część zaś zmarła. W miesiącu maju zebrano nas większy transport i koleją wysłano do Nowo-Nikołajewska, skąd mieliśmy być następnie przetransportowani do ałtajskiego kraju. W Nowo-Nikołajewsku na stacji towarowej pobudowane były baraki, zapełnione całkowicie jeńcami chorymi na cholerę azjatycką. Nieszczęśliwcy ci znajdowali się w opłakanych warunkach i pozbawieni zupełnie jakiejkolwiek opieki lekarskiej, zdani byli całkowicie na łaskę losu, to też codziennie śmierć zabierała z nich po kilkadziesiąt ofiar.

(C. d. n.)

RAFAŁ HIRSCH.
weteran 1863 r.

Wspomnienia z 1863 r.

Oddział 3-ci pod pułk. Miniewskim, złożony z 400 ludzi, z pod wioski Berlina, gdzie się organizował, nie wyruszył, gdyż z rozkazami gen. Wysockiego goniec nie dojechał — a po zniszczeniu oddziałów Horodyńskiego i Wysockiego, Miniewski rozpuścił ludzi, a broń ukrył w lasach na dalszą potrzebę.

* * *

W listopadzie 1863 r. formuje się kilka oddziałów, które przechodzą kordon rosyjski szczęśliwie w obszar Lubelski, Hrubieszowski, Zamojski i skubią armję rosyjską gdzie mogą. W pierwszej połowie grudnia 63 r. ja, wyekwipowany i niepohamowaną żądzą bicia moskala owładnięty, pożegnałem

znowu dom kochany. Ojciec dał mi wierzchowca, klacz własnego chowu. Byłem dobrze wyszkolony przez urlopników, żołnierzy kawalerji austrjackiej, bowiem służba wojskowa liczyła się lat dwanaście, więc i byli to ludziska wyszkoleni — a pod nadzorem mego ojca robiłem szablą, lancą, z konia w pędzie, biłem kulą z pistoletu do pni topol piramidalnych, tak, że mogłem śmiało pełnić służbę instruktora. Więc jako tako pożegnawszy się z najdroższymi i z dobrym pękiem świętości na piersiach pod koszulą — matka ofiarowała mi relikwję Ojców Bernardynów we Lwowie, w torebce szkaplerza był zaszyty obrazek na grubym, szarym papierze, nie kolorowany, z wizerunkiem M. B. Częstochowskiej. Obrazek ten widniał był w ołtarzyku mojego dziadka po ojcu — żołnierza i porucznika w armji Napoleona z r. 1812; towarzyszył on dziadkowi mojemu aż pod Moskwę i z obrazkiem tym powrócił po wojnie i usiadł w Galicji. Dwie siostry dały mi medaliki emaljowane. Ojciec, żegnając mię, zdjął pierścień z palca swojego z wizerunkiem Matki Boskiej i wyrytym na nim rokiem 1851.

Wspominam o tem, bowiem łączą się one ze zdarzeniami, które w opowiadaniu będą przedmiotem mojego zdarzenia.

Krótko mówiąc, siedliśmy z ojcem na wózek oglądnąłem się za „Borką" przyczepioną do drabin wózka, która rżeniem pożegnała towarzyszy i towarzyszki, opuszczając stajnię.

Wózek potoczył się równą drogą od dworku rodzinnego, „Hirschówka" zwanego, przez Pomkwę wielką i po upływie dwóch i pół godzin czasu, jadąc w milczeniu, ujechaliśmy 25 klm. drogi i zajechali przed dwór we wiosce Czechy do właściciela i wielkiego patrjoty, polaka i komisarza wojennego, pana Krajewskiego.

Tamże po staropolskiem gościnnem przyjęciu odpocząwszy, wyruszyłem w dalszą moją drogę bez klaczy „Borka" — pan Krajewski tłumaczył nam, że oddział będzie miał dobrych koni ze setki do wyboru, — i bez ojca. Siodło tylko, umontowanie i przybory, jak „mantelsak" z rzeczami, dwa pistolety pięknej roboty, które mi darował na wojnę hr. Cetner, właściciel Podkamienia, pałasz mój z mosiężną gardą, składny dla mojej ręki — z tem wszystkiem siadłem na wózek dworski i ruszyłem w dalszą drogę do Bełzca, do formującego się oddziału w Sokalskim powiecie, a pod dowództwem rotm. Rozwadowskiego. Podróż moją w Sokalskie odbywałem z popasami czasem dwa i trzy dniowemi.

Dowódca, rotm. Rozwadowski, nie spieszył się zbytnio, żądał porządku i wyekwipowania dla oddziału. Było wskazanem, by formować i przekraczać granicę od 50 do 150 ludzi, zdolnymi na wytrzymałość zimy.

Z podróży mojej do oddziału i postojów mogę tylko wspomnieć, że od Czech zajechałem do Bełzca na kwaterę do dworku administratora dóbr tych. Tam radzono mi, zdaje się z powodu na dość młodzieńczy mój wygląd, bym zaniechał podróży do oddziału i bym przed zimowemi sztrapacami powrócił do domu lub w domu ich przesiedział bodaj te dwa miesiące, t. j. grudzień i styczeń.

Państwo ci mieli 17-letnią córeczkę, ładną i milutką. Panienka Krzysia akordowała mi na fortepianie nie tylko do piosenek, których dość obfity repertuar posiadałem, ale akordy jej wdzięków unosiły mię w rozkosz rycerskości i potęgę duchowych marzeń. Uczyła mię „Sebastopola" we dwójkę, gra w karty dwoma taljami. Cieszyliśmy się, bawiąc się serdecznie. A ona szepnęła mi raz: „nie daj się namowom zbić z tropu, skoroś zuch, bo jeliby kiedyś żartowano z ciebie — płakałabym!"

— „Dziękuję ci i jak powrócę, to przybiegnę do ciebie, by ci jeszcze raz i długo, długo dziękować i rączkę twą ucałować po żołniersku, a teraz pójdę" — i po trzech dniach wypoczynku podwoda zajechała i ja z mojemi bagażami żołnierza opuściłem dom pamiętny i powlokłem się w dalszą drogę.

Przed wieczorem stanąłem przed domem „leśniczówki" z przysiółkiem okolonym lasem. I tu panna leśniczanka ze swoją Mamusią zajęły się mną szczerze — pana leśniczego nie było w domu: powrócił już po spożyciu wieczerzy. Ulokowano mię w kancelarji pana leśniczego.

Rano wyprowadzono mię, na wpół przytomnego, na świeże powietrze. Szum w uszach i zawrót głowy sparaliżowały mi krzyże. Gromki głos pana leśniczego na gajowego, pisk pani mamy i panienki dały mi odczuć i zrozumieć, że gajowy nic nie winien, bo panienka nakazała, by w nieopalanej kancelarji dużo drzewa nałożył, aby temu powstańcowi nie było zimno. Nie długo to trwało, to zaczadzenie. Zdrów już, na drugą noc spałem w izbie gościnnej domu, a po obiedzie wyruszyłem w towarzystwie dodanego mi gajowego, który mię przez całą podróż na piechotę lasami bawił opowiadaniem zdarzeń tegoczesnych z powstańcami.

Doszliśmy tak do dworu Boratyn w powiecie Sokalskim. Godzina była już 9-ta wieczór.

Pan zarządca, widać chłop wesoły, powitał mię dowcipem drażliwym, mówiąc: „a nie zjadły tam młodego pana wilki, w lesie naszym jest ich nie mało; a czemuż to piechotą? — pyta — a mieliby pieczeń smaczną".

— „Nie tak prędko — powiadam — dałbym się zjeść wilkom, bo widzi pan, nazywam się Hirsch, a po polsku Jeleń, więc mam i rogi ku obronie" — i wskazuję mu za pasem dwa pięknie lśniące pistolety.

Wtem otwierają się podwoje z przyległego pokoju i wychyla się twarz brodata, trochę zryta

ospą. Patrzymy na siebie, lecz nie po długiej chwili on zawołał: Rafał!, a ja poznałem go również i uradowany rozwarłem ramiona i mówię: Teofil! Poczęliśmy się wzajemnie ściskać i całować. Wreszcie mówię: Szukam i szukam za porucznikiem i przecież udało mi się dogonić i złapać.

Po posiłku, jaki podano na wieczerzę, zabrał mię por. Teofil Chudzikiewicz na noc do swojego pokoju.

(C. d. n.)

Notatki

Śp. *Stanisław Sarjusz Zaleski*, urodzony we Lwowie 4. 6. 1894 r., przebył od października 1914 r. całą kampanję w Karpatach w 3 szwadronie II. pułku ułanów Leg. pol. Brał udział w bitwach pod Pasieczną, Nadwórną, Hwozdem, Mołotkowem, przebył wszystkie walki wzdłuż Karpat do Besara-

bji. Następnie przeniesiony do 6 szwadronu pod dowództwem porucznika Pryzińskiego, brał udział w całej ofenzywie wołyńskiej do Styru. W czasie patroli pod Końskoje, gdzie w dłuższej walce z kozakami zginął podchorąży Pruszyński i kilku ułanów, zdołał wyprowadzić pozostałych kolegów z beznadziejnej sytuacji. Nad Styrem brał udział w walkach pozycyjnych, następnie w ofenzywie Brusiłowa w ciężkich walkach z Rosjanami, a potem nad Stochodem w walkach pozycyjnych i ruchowych aż do wycofania Legjonów z frontu.

Ukończywszy szkołę oficerów taborowych, powrócił ponownie do pułku, gdzie pełnił służbę do czasu przejścia II Brygady na Besarabję. Po rozbrojeniu, przyaresztowany w Marmaros-Szigeth i Huszt, a po skończonym procesie został wysłany wprost na front włoski nad Piawą.

Po otrzymaniu urlopu z powodu ogólnego osłabienia i przebytej czerwonki, przybył w październiku 1918 r. do Krakowa i tu brał żywy udział w rozbrojeniu austrjaków w dniu przewrotu.

Wysłany w dniu 13 listopada 1918 r. z Krakowa do kadry w Mińsku Mazowieckim mimo grypy, która wówczas panowała, po 36-godzinnej podróży do Warszawy w wagonie bez szyb w oknach, stan zdrowia jego tak się pogarszał, że w dniu 20. listopada 1918 r. zmarł w Warszawie w 24 roku życia i tam pochowany na cmentarzu Powązkowskim.

Odznaczony krzyżem walecznych i odznaką honorową II Brygady Leg. Polskich 2 pułku uł.

* * *

Na zdjęciu siedzi śp. Stanisław Zaleski, a obok stoi brat jego, dziś *Dr. Józef Zaleski*, również ułan, który przebył pierwszą część kampanji karpackiej w 3 szwadronie 2 pułku ułanów pod Pasieczną, Nadwórną, Hwozdem, Bohorodczanami, Mołotkowem, Rafajłową.

Obecnie jest starostą w Lublińcu, gdzie rozwija żywą działalność na polu Spółdzielni rolniczych. Jest prezesem Związku Legjonistów w Katowicach.

BŁOTNICKI ADAM: „Dzieje Szkoły Rycerskiej w dawnej Polsce“ — 8° str. 47; nakładem autora; druk: „Mieszczańska“ we Lwowie.

Na pierwszych 28 stronach przechodzi autor dzieje Szkoły Rycerskiej od powstania myśli i projektu takiej Szkoły (1594 r.) przez różne wnioski i żądania hetmanów, posłów i mężów stanu, aż do założenia Korpusu Kadetów za Stanisława Augusta. Autor podaje wiele cennych źródeł i dużo materjału historycznego.

Do tej rozprawy dołączył autor katechizm moralny *Szkoły Rycerskiej*, ułożony przez ks. Adama Czartoryskiego i swoją prelekcję, wygłoszoną na akademji P. W. w Sokółce i w Grodnie 1925 r. p. t.: *„Ideologja Przysposobienia Wojskowego“*.

Rozprawka kpt. A. Błotnickiego porusza tak mało znane dzieje naszych Szkół Rycerskich, że wydając ją — dobrze się przysłużył autor naszej historji wojska, które przez tyle lat pozbawione było pracy dla dobra i mocarstwowości Polski.

Z końcem lutego ukazał się nowy numer *„Spraw Narodowościowych"*, który zawiera szereg nader interesujących artykułów. Na specjalną uwagę zasługuje obszerna praca p. dr. *A. Krysińskiego* p. t. „Liczba i rozmieszczenie Ukraińców w Polsce", w której autor z wielką znajomością przedmiotu i z pełnym objektywizmem stara się ustalić maksymalną liczbę Ukraińców w Polsce. Poza tem zamieszczone zostały dwa artykuły, mianowicie: prof. *T. Walka Czerneckiego* p. t. „Czynnik narodowy w starożytności" i I. *Bornsteina* p. t. „O działalności gmin wyznaniowych żydowskich w Polsce", w którym omówione są wyniki ankiety, przeprowadzonej przez Instytut Badań Spraw Narodowościowych.

W bogatej, jak zwykle, kronice podane zostały aktualne materjały, dotyczące spraw mniejszościowych w Polsce i poza Polską oraz na terenie międzynarodowym i m. in. sprawozdanie z III-go Kongresu U. N. D. O., z 54-ej Sesji Rady Ligi Narodów w Lugano, skład narodowościowy Federacji Zakaukaskiej i wiele innych.

Od Redakcji.

Każdy czytelnik powinien zjednać jednego nowego prenumeratora.

Odnowić przedpłatę na II kwartał. Kwotę przesłać blankietem pocztowej kasy oszczędności Nr. 152950.

Poszukujemy Nr. 2, 4, 6, 27, 28 i 40 — zapłacimy podwójną cenę.

Redaktor przyjmuje codziennie od 3 do 5 pop. przy ul. Listopada 81.

Kto otrzymał „Panteon Polski" i niema zamiaru prenumerować — niechaj zwróci ten zeszyt, względnie niechaj uiści kwotę 90 gr.

Józef Piłsudski o Sobie

zebrał i wydał Z. Zygmuntowicz.

Treścią tej książki jest życie i przeżycia Marszałka od kolebki do ostatnich czasów, według

własnych słów i opisów

Przeszło 120 stron druku dużego formatu, kilkadziesiąt ilustracji.

Książka nieodzowna przy uroczystościach, przemówieniach i t. p.

Każdy Polak powinien poznać życie WIELKIEGO CZŁOWIEKA naszej doby, zwłaszcza z Jego własnych słów.

Cena tej książki wynosi 10 zł. (opr. 15 zł.).

Dla P. T. Wojskowych i Urzędników Państwowych, Policji Państwowej, Nauczycieli i Bibljotek publicznych i naszych rocznych prenumeratorów cena zniżona

tylko 8 zł. opłatnie.

(Oprawiona w płótno z złoconym napisem zł. 12 opłatnie).

Zamówienia prosimy skierować pod adresem Administr. „Panteonu Polskiego" Lwów Skrytka 98

Lwowskie Towarzystwo Akcyjne Browarów

poleca najlepsze PIWA

REDAKTOR ODPOWIEDZ. Z. ZYGMUNTOWICZ. ADR. RED. I ADM. LWÓW, SKRYTKA 98 — TEL. 22.90.
KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. CYNKO-GRAF., „ARS", SYKSTUSKA 32. — DRUK. „SZTUKA", PLAC STRZELECKI 2.